

Berta Brawer - Tepper

Część autobiografii
(w skrócie)

Rok 1939

Po siedmiu latach studiów we Włoszech wróciłam do mego rodzinnego miasta - Drohobycza. Przywiozłam ze sobą imponujący dyplom: Doktor medycyny - stopień ogólny: Máxima cum láude!

Byłam w pesymistycznym nastroju. Tęskniłam za Włochami (szczególnie za jednym). Pokochałam Włochy - ten piękny kraj, jego wspaniałe krajobrazy, piękno architektoniczne miast, bogate muzea, działa sztuki i muzyki (operę w La Scala) i ten serdeczny naród o jednej z najstarszych w Europie kulturze. Już w młodym wieku zachwyciłam się mitologią, tak interesującą przekazaną nam przez naszego nauczyciela łaciny, prof. Błata.

Myślałam tylko o tym, jak znów wymknąć się na szeroki świat. Do Włoch nie mogłam już wrócić. Funkcjonowała już oś Berlin - Rzym. Od lat nie przyjmowano na uniwersytet nowych studentów żydowskich. Nam, na wyższych latach, kompromisowo pozwolono ukończyć studia. Wykładowcy byli nastawieni do nas pozytywnie. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że mnie - Żydówce - nie zawahali się dać dyplom z wyróżnieniem. Większość Włochów nienawidziła Niemców. Mam na to niezliczone dowody. W dniach wojny pomagali Żydom.

W czasie mego pobytu we Włoszech nie miałam żadnych starć z faszyzmem. Wystarczyło trzymać się trzech przykazań, które wisiały wydrukowane na ścianach w różnych miejscach publicznych: 1) non sputare (nie palić), 2) non bestemiare (nie przeklinać), 3) Di politica non parlare (nie rozmawiać na tematy polityczne)..

Miałam plany wyjazdowe na specjalizację do Szwajcarii lub Francji. Wiedziałam jednak, że są to „marzenia ściętej głowy”. Rodzice nie zgodziliby się na dalsze finansowanie mego pobytu za granicą. Byłam już w wieku żeniaczki. Panna ładna, dyplom lekarski (na razie dla ozdoby, ale może dobra inwestycja na przyszłość) i do tego konkretna willa w posagu. Wszelkie dane na dobry „sziduch”. I kandydatów nie brakło.

Były już słuchy o groźbie wybuchu wojny, ale ja - zajęta swoimi problemami - nie brałam ich poważnie. W pamiętny piątek (1 września 1939 r.) wybrałam się do miasta. Był piękny słoneczny dzień. I nagle na niebieskim niebie pojawiły się duże czarne ptaki. Niemieckie bombowce. Początek tragicznego, makabrycznego okresu, jakiego nie było jeszcze w całej historii świata. Biegiem wróciłam do domu, niespokojna o los rodziców. Razem z balkonu patrzyliśmy jak pali się Polmin (Państwowa rafineria nafty).

Ulice Drohobycza zapełniły się cofającym się wojskiem polskim oraz cywilami uciekającymi w kierunku granicy południowej (Rumunia). Ja chętnie przyłączyłabym się do nich, ale rodzice nie myśleli o ucieczce. Cały ich majątek był w nieruchomościach - nigdy nie mieli gotówki ani kosztowności.

Zostawić wszystko na co pracowali ciężko tyle lat? Czy można było przewidywać co przyniesie przyszłość?

Po krótkim czasie pojawiło się wojsko niemieckie, na okres tymczasowy. Pakt Ribbentrop - Mołotow podzielił Polskę na dwie części. Nasza - wschodnia - przypadła Rosji.

Przyjęłam okupację rosyjską jako mniejsze zło. Byłam zadowolona, że pozbyliśmy się Niemców, ale zdawałam sobie sprawę, że się stąd już nie wydostanę. Klamka zapadła - kontakt z zagranicą zerwany.

Dostałam pracę w miejskim szpitalu. Nowy reżim uznał mój dyplom, niepotrzebna była nostryfikacja. Byłam z tego bardzo zadowolona, lubiłam mój zawód, nawiązywałam przyjazne stosunki z kolegami po fachu i byłabym się dostosowała do nowych warunków gdyby nie nowe ciosy losu.

Nowi władcy doszli do wniosku, że mój ojciec, jako „burżuj” jest wroгим elementem i jako taki nie ma prawa mieszkać w wielkim mieście (Drohobycz liczył wówczas 30.000 mieszkańców). Majątek rodziców został znacjonalizowany i otrzymaliśmy nakaz wysiedlenia. Rodzice tymczasowo zamieszkali u ciotki w Borysławiu. Ja próbowałam jeszcze walczyć. Wysłałam list (podanie) do kancelarii tow. Chruszczowa, który był wtedy sekretarzem ukraińskiej partii komunistycznej. W liście opisałam szczegółowo mój młodociany flirt z komunizmem, za który przesiedziałam się w więzieniu. Dołączyłam podpisy świadków - znanych komunistów. Rodzice wydali nie małą sumę, ażeby sprawę tę zatuszować, musiałam opuścić Polskę. Jako antidotum na komunizm zostałam przez rodziców wysłana do faszystowskich Włoch. Czekałam na odpowiedź od Chruszczowa. Odpowiedzią była odmowa bez uzasadnienia. Musiałam opuścić Drohobycz. W oczekiwaniu na placówkę pracy wyjechałam do Borysławia. Tam spotkałam mego przyszłego męża, Józka. On też pochodził z Drohobycza. Zналиśmy się powierzchownie. Studiował we Francji i jak ja przyjeżdżał do Drohobycza podczas wakacji. W Borysławiu pracował w przemyśle naftowym.

Oboje byliśmy mile zaskoczeni tym spotkaniem. W Borysławiu nie zналиśmy prawie nikogo, wszyscy nasi przyjaciele byli w Drohobyczu. Czuliśmy się jak dwoje rozbitków na bezludnej wyspie. Po pierwszym spotkaniu przyszły następne, coraz częstsze, i z czasem każdą wolną chwilę spędzałyśmy razem. Z utęsknieniem czekałam na te spotkania. Gdy doszliśmy do wniosku, że coraz trudniej nam się rozstać, postanowiliśmy zalegalizować nasz związek. Ślub początkowo w Zaksie (cywilny) a później u rabina (ku zadowoleniu rodziców).

W międzyczasie dostałam posadę w pobliskiej Schodnicy, dokąd sprowadziłam rodziców. Józek został w Borysławiu i spotykaliśmy się tylko podczas weekendów. W Schodnicy było nas troje lekarzy. Raz na trzy tygodnie 24-godzinny dyżur. Pracy było dużo - nie narzekałam. Najgorsze jednak były wizyty domowe u chorych, czasem nocne. Raz zostałam wezwana

przez Ukraińca do żony, która przechodziła skomplikowany poród. Dział ten znałam tylko teoretycznie. Jechaliśmy bryczką, nocą przez las, a ja umierałam ze strachu - co będzie, jak nie uda mi się uratować matki i dziecka. Miałam zablokowany umysł. Podjechaliśmy pod chałupę, wyskoczyłam z wozu i nagle usłyszałam płacz niemowlęcia. Samo utorowało sobie drogę na świat. Był to dla mnie najpiękniejszy koncert, jaki słyszałam w życiu.

Mimo ciężkich warunków życia (mieszkaliśmy na poddaszu, w ciasnym jednopokojowym mieszkaniu, jedyny dochód - moja skromna pensja) był to szczęśliwy okres w moim życiu. Wzajemna miłość do Józefa była kompensacją za wszystko. Józek był wspaniałym towarzyszem. Mieliśmy dużo wspólnych cech, podobne nastawienie do życia i ludzi, podobne zainteresowania, np. do dobrej literatury. Dyskutowaliśmy nad książkami, które czytaliśmy w przeszłości. Ulubione przez nas były książki na tle historycznym albo biografie ciekawych ludzi, jak życiorysy ludzi bohemy paryskiej z pierwszej połowy XX wieku.

Nigdy nie mówiliśmy o przeszłości. Wiedziałam od wspólnych znajomych, że był żonaty. Jego żona, Francuzka, nazywała się Giselle. Nigdy mi o niej nie opowiadał, a ja nie pytałam. Nie wspominałam też mego Włocha - Cesare. Żyliśmy tylko teraźniejszością. Przeszłość nie była ważna. Józek był małomówny. Nie pamiętam czy wypowiedział kiedyś zdanie: ja cię kocham. Niepotrzebne były słowa. Przy Józku rozumiałam jaka jest różnica między zakochaniem się a miłością. Z Cesare byłam gotowa zamieszkać na pustyni, ale tylko dla Józka gotowa byłam się poświęcić. Byłam też pewna, że i jego uczucie do mnie jest takie, że w każdej sytuacji mogę liczyć na niego. Dowiedliśmy tego oboje podczas okupacji hitlerowskiej.

Znów zaskoczył nas wybuch wojny: napad hitlerowskich Niemiec na Rosję. Hitler sprytnie, po uporaniu się z Europą zachodnią, nabrał też apetytu na wschodnią. Rosjanie wycofali się w popłochu. Zdażyli jednak przedtem zmobilizować Józka do Armii Czerwonej.

Pierwszy pogrom w Schodnicy zorganizowali uzbrojeni przez Niemców Ukraińcy. Wierzyli oni, że Niemcy pomogą im w utworzeniu niepodległej Ukrainy, chcieli im się przypodobać i wykazać im swe bezwzględne oddanie. Powodowali się też swą historyczną zawiścią i nienawiścią do Żydów.

Rozeszły się słuchy, że bandy Ukraińców wyciągają z domów żydowskich mężczyzn. Przez okno widziałam jak Żydzi z sąsiedztwa chowają się w pobliskiej stodole. Zaczęłam nalegać na ojca, ażeby przyłączył się do nich. Ojciec chciał zostać z nami. Dopiero gdy mama dołączyła się do moich nalegań, niechętnie ustąpił. Powolnie zaczął schodzić. Zeszłam za nim i w zderzeniu zaczęłam nalegać, aby się pospieszył. Odwrócił się ku mnie i bez słowa spojrzał swoimi mądrymi dobrymi oczyma, jakby prosił, ażebym pozwoliła mu wrócić. Pożegnalne spojrzenie. Pchnęłam go lekko, aby przy-

spieszył. Pchnęłam go w śmierć. Do dzisiaj żyję z tą raną w sercu, która nigdy się nie zagoi.

Ukraińcy wyciągnęli wszystkich Żydów ze stodoły - do domu nikt nawet nie zajrzał.

Czekaliśmy w domu na powrót ojca. Przez myśl nam nie przeszło, że grozi mu śmierć. Może szukali komunistów, może mieli jakieś osobiste porachunki - wezmą ich pod sąd. Memu ojcu, który nikogo nie skrzywdził, nie miał wrogów, był ogólnie ceniony i lubiany - nic złego stać się nie może.

Po pewnym czasie, który bardzo się nam dłużył, postanowiłam zejść na dół i zbadać sytuację. Ulice były puste - ani żywej duszy. Z bocznej ulicy wyłonił się znajomy mi policjant ukraiński (leczyłam jego dzieci). Pani Doktor - krzyknął (po ukraińsku) - co Pani tu robi teraz. Idę po mego ojca, żeby go zabrać z powrotem do domu - odpowiedziałam. Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem i wyszeptał: Zabili Twego ojca razem z wszystkimi innymi, ani jeden nie został przy życiu. Wskazał ręką w kierunku zalesionego wzgórza. Oni tam leżą zabici, na własne oczy widziałem. Upieram się, nie wierzę, że mego ojca zabili. To jakaś pomyłka, idę tam szukać. Nie możesz tam pójść, to niebezpieczne, może tam jeszcze grasują. Nie chciałbym, żeby Ci się coś złego zdarzyło. Jestem Ci przyjazny i wdzięczny za to, że z oddaniem opiekowałaś się moimi dziećmi. Ale ja nadal nie ustępuję, upieram się: Jeśli jesteś moim przyjacielem, jak twierdzisz, to chodź ze mną. Po chwili zastanowienia odpowiedział: Dobrze, pójdę z Tobą, ze mną będziesz bezpieczniejsza.

Wchodzimy do lasu. Śmiertelna cisza. Grupami leżą ofiary. Przechodzę od grupy do grupy - rozpoznaję znajomych. Oprócz mężczyzn tylko nieliczne kobiety, które nie chciały rozłączyć się z mężami. Odnalazłam ojca w ostatniej grupie, całkiem na górze. Leżał wyprostowany, jakby spał. Pod prawym policzkiem nieduża kałuża krwi. Zdjęli mu buty i marynarkę. Leżał w szarych spodniach i jasnoniebieskiej koszuli. Zawsze dbał o dobór kolorów, o estetyczny wygląd.

Nie płakałam. Ból był nie do zniesienia, nogi jak z ołowiu. Nie mogłam się oderwać, stałam i patrzyłam na zwłoki mego cudownego ojca. Jak mało go znałam, jak mało czasu mu poświęciłam. Pochyliłam się nad nim i pocałowałam w zimny policzek - jak rzadko całowałam go za życia. Muszę być silna, mam obowiązek zawiadomić matkę o nieszczęściu. Skąd wziąć siłę? Pójdę do dziadka, tylko on, jedyny, mógł mi dać siłę i pociechę.

W ciasnym mieszkaniu, gdzie mieszkał z babką, nasze oczy spotykają się. On już wie, domyśla się. Podchodzę do niego. Obejmują mnie jego ramiona. Szukam słów, z wyschniętego gardła wyszeptałam: Zabili ojca. I dopiero teraz wybucham płaczem. Dziadek trzyma mnie mocno w ramionach, milczy. Ale czuję, jakby prąd przeszedł przez jego ciało. Bardzo kochał ojca, ulubiony zięć był jego dumą, podziwiał zalety jego charakteru, mądrość, zdolności i oddanie rodzinie. Dziadek był bardzo pobożny i w tym też ojciec go

nie rozczarował. Stoimy objęci tak przez dłuższą chwilę. Wysuwam się delikatnie z jego ramion. Idę do mamy. W drodze do domu spotykam sąsiada, młodego Ukraińca. Zatrzymuje mnie, by powiedzieć mi, że był zmobilizowany z moim mężem i był naocznym świadkiem jak Józek zginął na froncie.

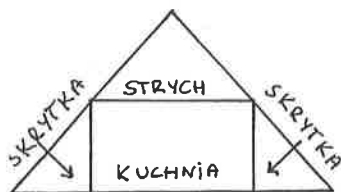
Nie jestem zdolna do żadnej reakcji. Samoobronny paraliż uczuć. Jak automat wchodzę do domu. Nie pamiętam jakimi słowami zawiadomiłam matkę o nieszczęściu. Widzę jak uginają się pod nią kolana. Podbiegam, by ją podtrzymać. Dwie wdowy pocieszają się wzajemnie.

W tym pogromie Ukraińcy zamordowali 300 Żydów. Jednym z powodów było twierdzenie, że prawie 2000 lat temu Żydzi przyczynili się do śmierci człowieka, Żyda z pochodzenia, który głosił tak piękne nauki, jak: kochaj bliźniego jak siebie samego.

Pierwszą ofiarą w rodzinie był mój uroczy ojciec. Jak ciężko los go skrzywdził. W dwunastym roku życia został sierotą i poszedł do ciężkiej pracy fizycznej (w składzie desek), żeby rodzina - matka, siostra i dwaj młodszy bracia - uniknęła krańcowej nędzy. Był zdolny, pracowity i ogólnie lubiany, szybko awansował. Ożenił się mając 25 lat. Matka była z zamożnego domu. Ojciec, dzięki jej pomocy i posagowi, założył własny skład i wkrótce się dorobili. Kilkadziesiąt lat ciężkiej i uczciwej pracy, nie krzywdząc nikogo. Rosjanie uznali go za pasożyta, znacjonalizowali majątek i zmusili do opuszczenia miasta, gdzie miał wielu przyjaciół, którzy go lubili i szanowali. Zamordowany został przez obcych ludzi, w obcym mieście.

Po krótkim czasie opuściłam Schodnicę (na zawsze). Matka, z obawy że odkryją moją komunistyczną przeszłość, przekupiła znajomego Ukraińca, który przeprowadził mnie pieszo przez las do Borysławia. Zamieszkałam u wujka Markusa. Ze stanu beznadziejnej apatii wyciągnął mnie cud. Józek wrócił!!! Ten podły sąsiad świadomie skłamał. Józek żyje i wrócił do mnie - znów będziemy razem na dobre i złe, co nam los przyniesie. Zdezercerował z wojska rosyjskiego i pieszo przeszedł setki kilometrów. Miał obrzękłe nogi i krwawiące stopy. Był na granicy kompletnego wyczerpania. Tylko troska o mnie gnała go naprzód. Czy potrzebne są słowa o miłości?

Matka przyjechała ze Schodnicy. Przywiozła ze sobą dziadków i Klarcię, 3-letnią kuzyneczkę, której ojca Rosjanie wywieźli na Syberię za niewiadome mu przestępstwa.



Zwolniły się dwa mieszkania w pobliżu wujka. W jednym z nich, na poddaszu, zamieszkaliśmy Mama, Józek i ja. Kuchnia była jak kwadrat wycięty z trójkąta. Na górze był strych, a po bokach - dwie trójkątne skrytki z wejściami zamaskowanymi szafami. Nie wiem kto tam mieszkał przed

nami i kogo lub co ukrywał w tych dwóch zamaskowanych schowkach za czasów sowieckich.

Drugą ofiarą w naszej rodzinie była ciotka Mina, matka Klarci, żona wujka Zygmunta, którego Rosjanie zesłali na Syberię. Mieszkali oni w Opacie, gdzie dziadek miał duże gospodarstwo rolne. Mimo naszych namów nie chciała na razie przyłączyć się do nas. Obie córki były w Borysławiu, Klarcia (3-letnia) z nami, a 2-letnia Esterka u ciotki Balki. Ciotka uspokajała nas, że strzeże jej przyjazny sąsiad, Ukrainiec, i że jak tylko dojrzeją plody na polach po żniwach - opuści Opakę. Doszła do nas wiadomość, że ten „przyjazny sąsiad” własnoręcznie ją zamordował, żeby zgarnąć majątek. Ciężko przeżywalismy jej śmierć.

Pogrom - listopad 1941

Niemcy, dla zmydlenia nam oczu, nazwali to przesiedleniem. Wierzyliśmy, że ludzi tych wysłali na pracę do Niemiec albo do innych miejscowości; były słuchy, że przychodziły od nich pocztowe kartki z pozdrowieniami. Dopiero po wojnie dowiedzieliśmy się, że zawieźli ich do Bełżca.

Jesień - zima 1941/1942

Głód, zimno, tyfus. Ludzie umierali. Na ulicach pełno trupów żydowskich. My zamienialiśmy na prowiant - za pół darmo - części garderoby, obrazy itp., wszystko co zostało nam po zlikwidowaniu gospodarstwa w Drohobyczu. Przychodzili do tych transakcji chłopcy z pobliskich wsi.

Powstał Judenrat (gmina żydowska) oraz policja żydowska, która początkowo miała pilnować porządku przed sklepami (Judenrat urządził sklepy, gdzie zaczęto rozdzielać chleb - pół bochenka na osobę). Proponowano też Józkowi, by wstąpił do policji, ale odmówił (jego zasada życiowa: z daleka od policji) - jakby przewidział, jaka przyszłość czeka tych policjantów.

Z początkiem 1942 roku stwierdziłam, że jestem w ciąży. Na myśl nam nie przyszło, ani mnie, ani Józkowi, żeby usunąć płód. Przeciwnie: oboje cieszyliśmy się na myśl, że urodzi nam się dziecko.

Dziś, z perspektywy czasu, zastanawiam się jakie to było szaleństwo. Szansa na uratowanie się niemowlęcia równa była zeru. Komplikowały się też nasze minimalne możliwości. Dochodzę do wniosku, że nie była to ani lekkomyślność ani brawura - prawdziwą przyczyną była ignorancja. Nie zdawaliśmy sobie absolutnie sprawy z powagi sytuacji, w naszej naiwności uważaliśmy, że żyjemy w okresie przejściowym, po którym nastąpi normalizacja. Wyrośliśmy na zasadach sprawiedliwości, etyki, wiary w ludzi. Były to zasady przekazane nam przez rodziców, nauczycieli, literaturę. Wiedzieliśmy o Inkwizycji w Hiszpanii, na tle problemów religijnych; wiedzieliśmy o pogromach dokonywanych przez bandy ukraińskie (np. Petlury), ale przez myśl nam nie przyszło, że naród o tak wysokiej kulturze może stworzyć taką ideologię

(wyższość rasy aryjskiej - dla dobra przyszłych pokoleń wymordować Żydów, Cyganów, chronicznie chorych i chorych psychicznie). Jeden kryminalny psychopata znalazł tylu zwolenników; legalny rząd opracował i wprowadził w życie plan stopniowego wymordowania całego narodu. Byliśmy ślepi i głusi.

Sierpień 1942

Atmosfera niepewności, pogłoski o zbliżającej się akcji. Żydzi kombinują schowki albo uciekają do pobliskich lasów. Przede mną kryją część wiadomości (ze względu na koniec ciąży) ale ja mam już swój plan.

2 sierpnia, z rana, zaczęły się bóle. Poród ciężki, w domu, bez aku-szerki ani lekarza. Bóle coraz silniejsze. W ostatniej chwili zjawia się lekarz, dr Teicher. Kleszczami wyciąga mego synka. Dr Teicher proponuje mi, bym poszła na jego oddział do szpitala. Jest on jeszcze kierownikiem oddziału ginekologicznego, bo nie znajdują zastępcy. Odmawiam, bo wiem, że jeśli wyjdę z domu - nie będę miała do kogo wrócić. Mam swój plan! Wierzę, że uda mi się uratować moich bliskich, że mnie i dziecku nic złego się nie stanie.

6 sierpnia nad ranem zaczęła się akcja. Przekonuję wszystkich obecnych - rodzinę i sąsiadów, łącznie 9 osób - by zeszli do schowków w kuchni. Zasuвам za nimi szafy. Jak zawodowy reżyser przygotowałam scenę z wszystkimi szczegółami. Na łóżku piękna pościel, dziecko ubrane w najładniejsze wykrochmalone ubranko - śpi. Ja, w nocnej koszuli, z rozpuszczonymi długimi włosami, z lekkim makijażem - z dzieckiem w ramionach (jak Madonna z Jezusem) czekam na gości.

Kroki na schodach. Zjawia się ich czterech: SS-man, policjant niemiecki, policjant ukraiński i sąsiad, który oprowadza Niemców. SS-man, przystojny młody człowiek, wydaje rozkaz po niemiecku: Ubierz się i chodź z nami. Odpowiadam po niemiecku: Nie mogę wstać, jestem słaba, niedawno urodziłam dziecko. On na to: W takim razie będę zmuszony zastrzelić cię w łóżku. Nie odpowiadam, nie płaczę, nie proszę go o litość - patrzę mu spokojnie w oczy, jestem spokojna, nie odczuwam strachu. Nasze oczy spotykają się i widzę, że nie są to oczy mordercy. Spoglądamy na siebie, czas się zatrzymał na długość życia człowieka - i znów słyszę jego głos: Postanowiłem zostawić cię, nie zabiję cię; przedłużam ci tylko życie, będzie jeszcze dużo akcji, wyrok śmierci na wszystkich Żydów. Obecna akcja będzie trwała trzy dni, ja jestem odpowiedzialny za ten odcinek. Tym razem nic złego ci się nie stanie. Gdy inni zaczęli protestować gniewnym głosem, kazał im się wy-nieść.

Zostaliśmy sami. Przysunął krzesło bliżej mnie i zaczął zadawać mi różne osobiste pytania, jakby chciał poznać bliżej kobietę, której „przedłużył” życie. Gdy się dowiedział, że ukończyłam medycynę we Włoszech, ożywił się cały i uradowany opowiedział mi po włosku, że jakiś czas był we

Włoszech, służył w armii. Zaistniała paradoksalna sytuacja. Na zewnątrz akcja w pełnym toku. Słysząc krzyki, płacze, strzały, przekleństwa po niemiecku. A wewnątrz, dwoje ludzi, jakby odizolowanych od rzeczywistości, prowadzi rozmowę na temat piękna Włoch, ulubionych oper włoskich itp. Nie jak kat i ofiara w czasie pogromu, ale jak dwoje ludzi równych sobie, przy filiżance kawy w kawiarni. On zadaje pytania, ja odpowiadam, sama też pytam, pozwalam sobie nawet od czasu do czasu skorygować jego wymowę włoską (jak równy z równym - to na całego). Spoglądam na swego synka: trzeci aktor na scenie, zgodnie z rolą, śpi jak amarek.

Po pewnym czasie mój wybawca schodzi, wraca z sąsiadem (który ich sprowadził w nadziei, że uda mu się ogołocić mieszkanie) wydaje mu rozkaz, by drutem kolczastym zamknął bramę; on tu będzie zaglądał od czasu do czasu i kontrolował. Rozkazuje mu po niemiecku, ja grzecznie tłumaczę na polski (skąd ta hucpa??).

Do dziś jeszcze zastanawiam się, co nim powodowało, że tak się zachował. Mam kilka wariantów odpowiedzi na to pytanie. Może zaimponowało mu to, że zachowałam się godnie, nie płakałam, nie prosiłam, czekałam spokojnie na jego decyzję. A może była to reakcja na ten estetyczny obraz młodej kobiety z dzieckiem w ramionach, jak obraz Matki Boskiej, jakich pełno w muzeach włoskich. I wreszcie trzecia wersja, która mnie najbardziej odpowiada: może zrozumiał, że nie nadaje się na kata - był dopiero na początku tej kariery, nie był zdolny do mordowania.

Może spotkanie ze mną spowodowało, że na czas wycofał się. Życzę mu tego z całego serca. Były takie wypadki, o jednym wiem z pewnego źródła. Po wojnie spotkałam we Wiedniu krewną Józkę, która opowiedziała mi dzieje swego życia. Podczas pierwszej wojny światowej zakochał się w niej oficer austriacki. Uciekła z nim z domu, pobrali się, urodziła mu syna i była z nim szczęśliwa aż do czasu, gdy mąż jej zaraził się hitleryzmem. Porwał syna do Hitlerjugend i zawiesił w salonie duży portret Hitlera. Odezwało się w niej żydowskie serce, zostawiła dom, męża i syna - uciekła do Wiednia i tam przeżyła wojnę. Nie miała żadnych wiadomości o mężu i synu. Syn odnalazł się po wojnie i opowiedział jej swoje dzieje. Zrobił karierę, brał udział w akcjach, aż pewnego razu załamał się widząc, jak bestialsko zabijają niemowlę żydowskie. Zdezercerował i udało mu się przeżyć.

Może moje niemowlę tak podziało na „mojego” SS-mana, może ratując nas postanowił też uratować siebie uciekając z tego piekła. Może - może - może. Prawdy nie dowiem się nigdy.

Akcja w sierpniu 1942 była najgorsza. 50 procent ludności żydowskiego zginęło w komorach gazowych w Bełżcu. Słabych i chorych zabijano w łóżku. Małe dzieci z sierocińca wyrzucano przez okno. Jakie szanse miałam ja i mój czterodniowy synek? Dobry los - szczęśliwy przypadek?

Po tej akcji otworzyły się nam oczy. Pierwszy raz zdaliśmy sobie sprawę z ogromu niebezpieczeństwa.

Jak uratować synka? Były słuchy, że katolicki ksiądz Osikiewicz ratuje żydowskie dzieci umieszczając je w klasztorach lub u katolickich rodzin. Pewnego wieczora zdjęłam opaskę z ramienia i poszłam do kościoła. Odczekałam aż skończyło się nabożeństwo - kościół opustoszał i podeszłam do księdza. Opowiedziałam mu, że mam synka nieobrzezanego i prosiłam o pomoc. Niestety - powiedział - miejsca, którymi dysponowałam są już zajęte, a ja sam jestem w niebezpieczeństwie. Niestety wiedzą już o mojej pomocy dla Żydów i obawiam się, że wkrótce i mnie „odwiedzą”. Jedno mogę jednak zrobić dla was: ochrzcić dziecko i dać mu metrykę chrztu. Może zna pani kogoś zaufanego, kto zgodzi się przyjąć ochrzczone dziecko.

Przypomniałam sobie, że obok nas mieszka Stasia Fedorcio (jedyna Polka, jaką znałam w Borysławiu). Była to przyzwoita i przychylna nam kobieta. Zwróciłam się do niej z propozycją księdza. Stasia odmówiła: wszyscy ją w sąsiedztwie znają, będą podejrzewali, że to żydowskie dziecko - ona nie ma odwagi.

Znów zwróciłam się do księdza i przekazałam mu odmowną odpowiedź Stasi. Ostatnia szansa stracona. Ksiądz Osikiewicz, gdy - żegnając się ze mną - zobaczył moją rozpacz, wziął mnie za rękę i powiedział: Proszę nie rozpaczać, mam jeszcze jeden plan, może się nam uda: poprosić panią Stasię, w moim imieniu, aby tylko trzymała dziecko do chrztu. Na to Stasia zgodziła się. Po ochrzczeniu dziecka przemówił do niej ksiądz: Wiem, że jesteś wierzącą katoliczką, widuję cię często na nabożeństwach. Jako matka chrzestna masz obowiązek ratować to dziecko. To będzie grzech jeśli tego nie zrobisz - Chrystus ci tego nie wybaczy. Tak ją podszedł ten wspaniały, kochany człowiek.

Wrzesień 1942 - getto

Dostaliśmy rozkaz przeniesienia się do getta - oddaliśmy mieszkanie Stasi, dziecko - tymczasowo do szpitala; ze świadectwem chrztu od księdza był tam bezpieczny. Zamieszkaliśmy w getcie. Był względny spokój. Stęsknieni za dzieckiem poszliśmy do szpitala - odnaleźliśmy naszego synka w okropnym stanie. Chudy, blady, zaniedbany nie do poznania. Oddaliśmy piękne, rumiane stworzenie. Zrozumiałam, że jeśli go zostawimy - w krótkim czasie się wykończy. Postanowiliśmy zabrać go ze sobą do getta. Po pewnym czasie, przy dobrej pielęgnacji, przyszedł do siebie.

Akcja październikowa

Józek, po wykąpaniu synka (co było jego ulubionym codziennym zadaniem) podał mi go do nakarmienia. W tym momencie otwierają się drzwi i wpada znajoma Polka (przyjaciółka Stasi) z krzykiem: Co wy robicie - jest

pogrom, getto otoczone policją. Nie zastanawiając się długo zawijam dziecko w kołderkę i podaję jej ze słowami: Proszę go zabrać do siebie. Nie mogę, mieszkam z bratową, która nienawidzi Żydów - ona nas wyda policji. To proszę zanieść dziecko do Stasi. Wybiegła z dzieckiem na rękach. Od tego czasu dziecko zostało u Stasi. Oddała mi je dopiero po wojnie.

W tym miejscu przerywam opowiadanie, by dać wyraz swoim uczuciom. Od czasu do czasu słyszę dyskusje na temat zachowania się naszych współobywateli w okresie okupacji hitlerowskiej. Nie znam statystyki ogólnej, ale mam swoją własną - osobistą.

1. Wiem, że część była zadowolona, że pozbywa się Żydów;
2. część była bierna;
3. część współczuła nam ale obawiali się pomagać, bo groziła za to kara śmierci.

Ale!!!

Była też część, która bezinteresownie pomagała Żydom, narażając się na karę śmierci. Są to jasno świecące gwiazdy na niebie. W mojej osobistej statystyce są trzy takie gwiazdy:

1. Ksiądz Osikiewicz, który zginął w Oświęcimiu za ratowanie żydowskich dzieci. Wydawał też fałszywe świadectwa dorosłym. Był świadom, że grozi mu za to śmierć.

2. Stasia, która prawie trzy lata przechowywała mojego synka. Mam pewien dowód, że niektórzy sąsiedzi wiedzieli o tym, ale nie donieśli policji.

3. Ta szlachetna Polka, która wpadła do getta podczas pogromu, aby nas uprzedzić i wyniosła z otoczonego getta żydowskie dziecko. Nie znam jej nazwiska i nie mogłam podjąć starań o przyznanie jej przez Instytut Jad Waszem tytułu Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Księdzu Osikiewiczowi i Stasi tytuł taki został przyznany.

Po oddaniu dziecka pobiegliśmy do sąsiedniego domu. Wiedzieliśmy, że jest tam na strychu kryjówka, zbudowana w podwójnej ścianie. Na stojąco, w ciasnocie, zmieściło się tam kilkanaście osób. Słyszeliśmy głosy policjantów. Przeszukiwali dom. Nagle nasza Klarcia zaczęła kasłać - niebezpieczeństwo, że wyda nas wszystkich. Struchleliśmy. Chwyciłam Klarcie jedną ręką za głowę, dwa palce drugiej ręki wepchnęłam jej głęboko do gardła. Policjanci opukali ściany, niczego nie znaleźli. Miałam pokrwawione palce, a Klarcia - chrypkę przez kilka tygodni. Znow uniknęliśmy śmierci. Jeszcze jeden cud.

Po tym pogromie, przez krótki czas, byliśmy u Stasi w schowku, a potem - w obozie pracy. Oboje z Józkiem dostaliśmy literę „R”, która tymczasowo zapewniała nam bezpieczeństwo. Józek dostał pracę w przemyśle

naftowym, a ja - jako lekarka w obozie pracy. Wystarał się o to mój wujek, Ignac Flaks, który był kierownikiem obozu.

W listopadzie 1942 był jeszcze jeden pogrom, który trwał miesiąc. Gromadzili ofiary w kinie „Colosseum”. W tym pogromie zginął mój ukochany dziadek.

Okres bunkrów w lesie 1943 - 1944

Przebywaliśmy kolejno w czterech bunkrach. Pamiętam dobrze pierwszy, trzeci i czwarty. Drugi uleciał mi z pamięci. Pierwszy bunkier w formie korytarza - szerokość ok. 2 metrów, wysokość człowieka na siedząco. Leżeliśmy jeden obok drugiego jak sardynki.

Bunkier budowano w nocy. Wykradaliśmy się z lagru w ciemności, obciążeni prowiantami. Kobiety i mężczyźni nosili w plecakach - i po dwie paczki w rękach - żywność, głównie produkty, które - w stosunku do wartości kalorycznej - mało ważyły: suchy groch, fasola, krupy itp. Gdy prowiant się kończył, front się nie zbliżał, a w obozie było względnie bezpiecznie - wracaliśmy.

Trzeci bunkier - wiosna 1944

Atmosfera w lagrze znacznie się pogorszyła. Litera „R” już nie była gwarancją. Postanowiliśmy ostatecznie opuścić lagier.

Wyjątkowo jak na porę roku spadł śnieg. Pewnej nocy przy otwartej klapie zjawił się nasz znajomy z pobliskiego bunkra. Wystraszony opowiedział nam, że uzbrojeni Ukraińcy napadli na ich bunkier, wymordowali wszystkich, tylko jemu udało się uciec. Nagle pojawili się w klapie ci Ukraińcy, którzy idąc po jego śladach w śniegu odnaleźli nasz bunkier. Widziałam śmierć przed oczami. Stałam przed Józką, aby go zasłonić. Pierwsza myśl: nie widzieć jak on pada.

I znów stał się cud! Nasi chłopcy nosili wysokie buty. Jeden miał wyjątkowo ładne, z błyszczącymi niklami. Ukraińcy nabrali na nie apetytu, każdy z nich chciał być pierwszy. Gdy nachylili się, jeden z naszych chłopców trzasnął laską lampę naftową (która stała na stole). Przez chwilę ciemność, potem nafta się zapaliła i wszyscy w popłochu uciekliśmy w las. Była z nami w tym bunkrze para: Lorka i Dufko Altbach. Dufko był jedynym rannym, do dziś ma bliznę na czole (oboje uratowali się, dziś mieszkają w Holonie).

Byłam bosa i tylko w lekkiej koszuli nocnej (w bunkrze w nocy było bardzo gorąco). Biegliśmy przez kilka godzin, na bosaka, po śniegu. I nawet nie kichnęłam. W normalnych warunkach - co najmniej zapalenie płuc.

Nawet w niebezpieczeństwie nie traci się poczucia humoru. . Józek, śmiejąc się, upominał mnie: przestań już z tym pipi, po żółtym śladzie na śniegu znowu nas Ukraińcy odnajdą.

2 maja przeżyliśmy w lesie radosną chwilę. Bombardowanie Borysławia. Wylecieliśmy z bunkra. Nie baliśmy się ani bomb, ani Niemców. To chyba oni w popłochu chowali się.

W czwartym bunkrze odkryli nas Niemcy. Jeden z naszych chłopców poszedł do miasta po żywność. Schwytali go Niemcy i torturując zmusili go do wydania kryjówki. Zaprowadzili nas z powrotem do lagru, gdzie już w międzyczasie zebrali pewną liczbę Żydów z kryjówek. Oznajmili nam, że wysyłają nas transportem do Płaszowa (obóz pracy na zachodzie). Równocześnie podali, że kto zgłosi się do transportu dobrowolnie - zostanie przy życiu, kogo złapią - ten zostanie rozstrzelany. Byłam świadkiem kilku egzekucji. Zamykałam oczy - słyszałam strzał - martwe ciało leży. Wojsko rosyjskie było już tak blisko, a te łotry ciągle jeszcze szukały po lasach..

Wywózka: było nas około 300 osób. Pieszko do stacji kolejowej, gdzie czekały na nas wagony, w których przewożono bydło. Droga do Płaszowa była już zajęta przez cofające się wojsko niemieckie. Jechaliśmy na południe przez Węgry, na zachód przez Austrię i znów na wschód do Oświęcimia. Droga trwała dwa tygodnie. Jeden epizod utknał mi w pamięci. Pociąg zatrzymał się blisko pola, gdzie pracowały stare kobiety węgierskie. Zaintrygowane widokiem ludzi w wagonach bydłowych pytały kim jesteśmy. Gdy usłyszały w odpowiedzi, że jest to transport Żydów do obozu zaczęły klaskać rękoma i skakać z radości: taniec wiedźm na miotłach.

Oświęcim

Przejechaliśmy słynną bramę. Odczytałam słynny napis: „Arbeit macht frei” (w tłumaczeniu: przez pracę do wolności). Nie łudziliśmy się, wiedzieliśmy dokładnie co nas czeka. Przywitał nas Mengele. Józek na rękach zdjął mnie z wagonu, a gdy usłyszał rozkaz Mengelego: „kobiety na prawo, mężczyźni na lewo” - wyszeptał: „Tego rozstania najbardziej się obawiałem”. Była to najpiękniejsze wyznanie miłości. I były to ostatnie jego słowa do mnie. Dokładnie tego samego dnia, kiedy wylądowaliśmy w Oświęcimiu, Rosjanie wyzwolili Borysław.

Tyle już pisano o Oświęcimiu, że ograniczę się do moich osobistych wrażeń. Odczuwałam swoistą ulgę. Okres poprzedni, w Borysławiu, był o wiele cięższy. Bolesne przeżycia, strata tylu członków rodziny, walka o ratowanie pozostałych - to było ponad moje siły. Ja byłam tą, która decydowała. Józek był od początku pesymistyczny, namawiał mnie do zażycia cyjankali (i tak nie przeżyjemy - dlaczego mamy się męczyć). Ale nie dałam się przekonać. Jak męczące jest pływanie pod prąd. W Oświęcimiu płynęłam z prądem, nie musiałam się o nic i o nikogo troszczyć. Fatalizm - apatia.

Nie bito nas, nie posyłano do pracy. Dokuczały głód - zimno - brud - samotność. Najbardziej jednak dokuczał swąd spalonego mięsa, napływający z krematorium.

Samotność jest smutna w każdej sytuacji, ale w tych nowych warunkach dokuczała wyjątkowo dotkliwie. Szukałam rozpaczliwie kogoś bliskiego. I znów los okazał się szczęśliwy. Do naszego bloku dołączono transport kobiet z Radomia. Zaprzyjaźniłam się z jedną pielęgniarką, Anką Berger. Przygnęłyśmy do siebie w tych warunkach. Co za ulga mieć przy sobie kogoś, komu na tobie zależy, ogrzewać się wzajemnie, dzielić się ostatnim kawałkiem chleba.

Obok naszego bloku (Birkenau blok 8) był blok Cyganów. Pewnej nocy wyprowadzili na śmierć wszystkich: mężczyzn, kobiety i dzieci.

Transporty do pracy w Niemczech

W Niemczech zabrakło siły roboczej (ściągnęli na front każdego, kto tylko miał ręce i nogi). To też było przyczyną, że nie zabili nas w Borystawiu. Zastanawiało nas to już w drodze.

Zjawiali się w Oświęcimiu cywile i wybierali kobiety do pracy. Przyszedł czas i na nas. Po ciężkich perypetiach (bo ciągle nas rozdzielano) udało mi się razem z Anką dostać do pociągu. Zawieźli nas do miejscowości Lichtewerden - koło Morawy Ostrowskiej. Obóz, po Oświęcimiu, wydawał się rajem na ziemi (hotel pięciogwiazdkowy). Głód bo głód, ale wygodne prycze, możliwość wzięcia natrysku - zimna i ciepła woda - ubiór odpowiedni do pory roku (była już zima 1944/45), nawet cywilne ciepłe płaszcze. Obóz był otoczony drutem kolczastym. Pracowałyśmy w fabryce nici. Prowadzono nas do pracy pod eskortą policjantów z psami. Praca niezbyt ciężka. Moją nadzorczynią była folksdojczka Frau Kumpke. Szlachetna kobieta (były i takie). Z litości nade mną przynosiła mi codziennie coś do jedzenia, narażając się na niebezpieczeństwo w przypadku ujawnienia (główny kierownik sali był nazistą). Pani Kumpke miała trzy córki i u niej też się nie przelewało, Niemcy już po części głodowali. Rewanżowałam się: ze starych swetrów córek szydełkowałam nowe modele, kombinując kolory i wzory (utajony talent). Po pracy, na pryczy, było to przyjemne zajęcie.

Raz dziennie dostawałyśmy przydział chleba. Niektóre kobiety od razu zjadały. Inne dzieliły na dwie porcje: jedna na wieczór, druga na rano. Reszta zostawiała na następny dzień. Byłaby to ciekawa obserwacja dla psychologa.

Rozmowy na pryczach, po pracy, dotyczyły głównie jedzenia. Co kto będzie gotował po wojnie. Rozdzielano sobie nawzajem przepisy na różne smakołyki. Naturalnie nikt nie brał tego poważnie. Wisielczy humor.

Mieliśmy czterech gestapowców. Głównego nazywaliśmy „Sznauce”, bo przy każdej okazji krzyczał na nas: „Halt die Schnautze” (trzymaj pysk) nawet kiedy wszystkie sznauce były zamknięte. Jeden jedyny raz, pod jakimś błahym pozorem, dostałyśmy od niego porządne cięgi. Dwaj inni gestapowcy zachowywali się naturalnie, ale ten czwarty to był dziwny typ. Nazy-

wałyśmy go „Pacyfista”, był tłusty, uśmiechnięty i bardzo uprzejmy. Nie wiem jak się znalazł w tym towarzystwie. „Pacyfista” zabierał mnie i Ankę w niedzielę do siebie (mieszkał poza obozem). Sprzątałyśmy mu mieszkanie. Przy tej okazji dokarmił nas obficie. Wiem, że głodujecie - mówił. Co za dziwne sytuacje los płata.

Koniec wojny

7 maja 1945 słyszeliśmy już wyraźnie zbliżającą się armię rosyjską. W nocy z siódmego na ósmego maja ważyły się nasze losy: „to be or not to be”, „być albo nie być”. Nie odczuwałam napięcia ani strachu.. Wiedzieliśmy, że nasi gestapowcy konferowali z notablami Lichtewerden: ksiądz - dyrektor fabryki - wójt itd. Ci byli zdania, by zostawić nas przy życiu, w obawie, że Rosjanie zemszczą się na ludności cywilnej.

„Sznauce” chciał nas wykończyć, ale nie zdążył. Tamci celowo przeciągali dyskusję. Rosjanie byli już na horyzoncie. Trzej gestapowcy uciekli. My czekaliśmy w obozie na wyrok. Zjawił się „Pacyfista”, otworzył bramę i przemówił do nas: „To co dla was się skończyło, dla nas się zaczyna”. Znikł, a z nim również policjanci z psami. Brama była otwarta, ale nikt z nas się nie ruszył. Nie było też żadnych objawów radości. Czekaliśmy w milczeniu. I milczeniem przywitaliśmy Armię Czerwoną. Żołnierze ustawili w środku lagru jakieś podwyższenie, na którym stanął udekorowany obficie oficer (generał). Przemówił do nas po rosyjsku - jak bardzo się cieszy, że zastał nas przy życiu. W środku przemówienia rozplakał się. Okazało się, że był Żydem. On płakał - a my słuchaliśmy w milczeniu, niezdolni do żadnej reakcji.

W obozie zjawiła się Frau Kumpke. Była zdenerwowana: „Żołnierze rosyjscy grasują po domach, gwałcą, zabijają. Dostali od władz wolną rękę na 24 godziny”. Prosi o pomoc. Poszłyśmy (z Anką) do jej mieszkania. Nocą przyszli rosyjscy żołnierze, Przemówiłam do nich po rosyjsku. Prosiłam: zostawcie ich w spokoju, to bardzo porządna rodzina, pomagali nam, Żydówkom z obozu. Dali się przekonać i odeszli. Uratowałyśmy w ten sposób dziewictwo trzech młodych Niemek. Po wojnie szukałam Frau Kumpke za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Nie udało mi się jej odnaleźć.

Nazajutrz wyruszyłyśmy w drogę do domu (gdzie nasz dom - co nas czeka?). Nie spieszyłam się. Bałam się powrotu. Miałam silne przeczucie, że Józek nie żyje. Telepatia? Wyobrażam ją sobie jako fale, które łączą na odległość dwie bardzo bliskie sobie osoby. Nie mam na to wytłumaczenia naukowego, może znajdzie się w przyszłości.

Po dłuższej wędrówce dotarliśmy do Krakowa. Trochę pieszo, trochę podwożeni przez rosyjskich żołnierzy, w końcu, z Morawy Ostrowskiej pociągami. Noce spędzaliśmy w mieszkaniach pozostawionych przez uciekających Niemców. Udaje nam się nawet od czasu do czasu coś wyszabrować (termin oświęcimski). Trochę garderoby, bluzka lub spódnica na zmianę.

Znajdywaliśmy nawet resztki żywności, które pomogły nam zaspokoić głód. W Krakowie odnaleźliśmy gminę żydowską, zorganizowaną specjalnie dla cudem pozostałych przy życiu powracających z obozów.

Spotkałam też znajomych z Drohobycza. Od nich dowiedziałam się, że matka Klarci i mój synek żyją i w ramach repatriacji przyjadą do Polski (Drohobycz został przydzielony Rosji). Zostałam żeby czekać na nich.

Nie głodowałam - zupa i chleb w gminie żydowskiej oraz pomoc ze strony spotykanych znajomych wystarczały. Problemem były noclegi. Czasem u znajomych, czasem w tanim hotelu albo na stacji kolejowej. Nie zdawałam sobie sprawy jak czas upływa - zamglony okres. Tylko jeden epizod utkwił mi w pamięci. Przypadkowo przechodziłam koło uniwersytetu. Był koniec roku szkolnego i studenci zabawiali się na podwórzu. Stałam jak wryta. Patrzyłam jak skakali po schodach, śmiali się na głos i żartowali. Biła od nich radość życia i optymizm. Nie mogłam się oderwać od tego obrazu. Przypomniał mi się mój okres uniwersytecki, pełen sukcesów osobistych i wyróżnień w nauce, kiedy i mnie się wydawało, że cały świat do mnie należy. Nie mogłam powstrzymać łez - opłakiwałam ten okres bezpowrotny, tę moją utraconą młodość.

Płakałam w czasie wojny jeden jedyny raz - w ramionach dziadka po zabiciu ojca. Później, w najgorszych sytuacjach nie mogłam płakać. Czytałam kiedyś gdzieś takie zdanie: kiedy łód w sercu, to i łzy zamarzają.

Po pewnym czasie pobytu w Krakowie nie miałam żadnych złudzeń, że Józek wróci. O szczegółach jego śmierci dowiedziałam się od Luzika Schechtera, który był z nim razem cały czas w obozach Oświęcim - Mauthausen-Gusen 2.

Józek zmarł z wycieńczenia dwa dni po wyzwoleniu obozu przez armię amerykańską. Ostatnie jego słowa do przyjaciela brzmiały: Mam nadzieję, że Berta i dziecko przeżyli wojnę, proszę cię, zajmij się nimi. Na słowa Luzika: Józek, trzymaj się, Amerykanie są już w obozie, pokiwał głową, zamknął oczy i zakończył życie. Ale mój kontakt z nim trwa nadal. Późnym wieczorem, już w łóżku, przed zaśnięciem, gaszę światło i rozmawiam z nim - opowiadam swoje dzieje. Czasem nawet kłócę się z nim: „Luzik opowiadał mi, że zamieniałeś chleb na papierosy - gdybyś tego nie robił to byłbyś wrócił do nas - razem wychowalibyśmy naszego syna”. Po chwili przepraszam go. Nie, Józek, nie gniewam się. Wiem jak ciężko ci było, głód, ciężka praca w kamieniołomach, a może czasem i bicie (na myśl o tym nie mogę powstrzymać łez). Może palenie było formą samobójstwa, aby nareszcie skończyć tę mękę.

Tanuach be'szalom

Śpij, mój drogi, śpij